Rozmaitości

Dnia 28. Marca **N^{ro} 13.** Roku 1840.

OPISANIE BITWY POD ASPERN

zaszłéj dnia 21 i 22 maja 1809.

(Z pisma wiédeńskiego: *Adler.*)

(Dokończenie.)

Jako najstarszy kapitan drugiego stopnia odebrałem zaszczytny rozkaz, połową batalijonu przypuścić ostatni szturm do włości Aspern, w któréj, między palącémi się ruinami, słychać jeszcze było wystrzały z broni ręcznej. Odważnie podstąpiliśmy pod to miejsce, i nie minęło chwil kilka, a już wyparowaliśmy z po za kurzących się zwalisk, ukrywających się flankierów nieprzyjacielskich; poczém dostawszy się w zakręt szérokiéj, wiejskiéj ulicy, chcieliśmy się przez nią przeprawić dla zdobycia będącego po drugiéj stronie domu leśniczego; lecz w tém miejscu przewitano nas rzęsistym gradem kul nietylko z każdego okna, otworu i ukrycia, ale nawet z każdéj gałęzi wysokich nad brzegiem Dunaju koło wyspy Lobawy stojących drzew, na które się nieprzyjacielscy strzelcy powdzierali. Więcéj niż połowa z 50 do 60 do szturmu ze mną postępujących ludzi, trupem poległa, a reszta rozskoczywszy się i po za gruzy ukrywszy, zaczęła ostatniémi nabojami na osadzonego po drzewach nieprzyjaciela ognia dawać. Widoczną było rzeczą, iż pokąd drzewa nie będą oczyszczone z nieprzyjaciela, dotąd szturm na dóm leśniczego na żaden sposób powieść się nam nie może. Lecz dla dopięcia tego zamiaru, zaczęło nam zbywać na amunicyi, która w dwudniowéj bitwie prawie do ostatka wyczérpaną została. Z pośpiechem posłałem w téj mierze oficera do najdostojniejszego wodza, który tuż przy włości, wypadku szturmu oczekiwać się zdawał. Arcyksiążę na prośbę o amunicyję odrzekł: »Jeżeli nie macie nabojów, idźcie na bagnety!« Kilka tych ważnych słów pokrzepiło nas nową odwagą; przypuściliśmy szturm powtórnie, aż nakoniec zdobyliśmy tę, przez dwa dni z niesłychaną zaciętością atakowaną, nieraz straconą, nieraz znowu zdobytą, tysiącznémi trupami i gruzami napełnioną włość Aspern, któréj nazwisko w dziejach wojennych na wieczną pamiątkę zapisaném zostanie.

Po skończonéj téj krwawéj walce zapadła noc pożądana, a najdłuższy i najokropniejszy dzień w mojém życiu — dobiegł nakoniec — swego kresu. Zaledwo, że rozstawiono czaty, natychmiast całe wojsko dla ugaszenia po dwudniowém natężeniu gorącego pragnienia, pospieszyło do krwią zczerwienionego Dunaju, w którym krocie zranionych i po samę szyję zanurzonych nieprzyjaciół, ból i gorączkę swą uśmiérzyć się starały. Posileni wodą, lecz znużeni natężeniem, walką, głodem i upałem, pokładliśmy się pomiędzy tlejące się jeszcze zwaliska, i używaliśmy pokrzepiającego snu aż do następnego poranku. Poczém zebrawszy się w szérokiéj ulicy, złączyliśmy się z resztą batalijonu.

Przed samą włością ujrzeliśmy naszego najdostojniejszego wodza, który na ziemi spoczywając, raczył waleczny batalijon nasz zaszczycić łaskawie swą pochwałą, a komenderującego najstarszego kapitana piérwszego stopnia, mianować na bojowisku

majorem; poczém cokolwiek naprzód nam podstąpić i na błoniu biwakować rozkazał.

Skoro pikiety rozstawiono i kilka set jeńców, którzy na błoniu broń złożyli, zabrano; autor niniejszego doniesienia wziąwszy z sobą mocny patrol, wyruszył do rozpoznania nadmienionego błonia i zniesienia do reszty rozprószonego nieprzyjaciela. — Wykręcając się około jednego lasku po drugiéj stronie ramienia Dunaju na brzegu 10 lub 12 sążni odległym; postrzegliśmy nieprzyjacielską wedetę. Ta łatwo do mnie wymierzyć i trupem mnie położyć mogła; ale szlachetny nieprzyjaciel postrzegłszy nas, okazał nam wojskowe honory, prezentując przed nami — swoimi nieprzyjaciołmi — broń; na co mu zniżeniem szpady mojéj z podzięką odpowiedziałem. Jakkolwiek wypadek ten mało ważnym zdawać się może, jednakże charakteryzuje on dostatecznie wojskowego ducha walecznych wojowników francuzkich.

Tym sposobem zakończyła się ta dwudniowa po wszystkie czasy najkrwawsza bitwa, w któréj dwie najwaleczniejsze armije całéj kuli ziemskiéj, z nadzwyczajném natężeniem o śmierć albo życie walczyły. Na czele jednéj był cesarz Napoleon, aż do owego czasu niezwyciężony pokonawca narodów, obdarzony najrzadszémi talentami zdobywcy świata, pośród niezliczonych, do zwycięztwa przyzwyczajonych zastępów, do których pokonane narody niemieckie przyłączyć się musiały; na czele drugiéj najdostojniejszy Arcyksiążę Karol, w dawniejszych téj nieszczęsnéj wojny wyprawach, Niemiec wybawca. Obadwa wojska były jak najdoskonaléj uzbrojone, we wszystkie niszczące środki nowoczesnéj sztuki wojennéj zaopatrzone, obadwa o los swojego bytu i honor wojskowy, zarówno do najzaciętszéj walki przygotowane; jednakże zastępy Napoleona, w porównaniu z naszémi nowo-utworzonémi batalijonami landwerów, co się dotycze wprawy, były nierównie przemagające, i tylko najwyższe cnoty wojenne, to jest: przywiązanie do swojego Monarchy i ojczyzny, wierność, posłuszeństwo, i zupełne poświęcenie się śród tak nierównych sił, równowagę ustalić mogły.

Na tém kończę opisanie téj pamiętnéj, olbrzymiéj pod Aspern bitwy, któréj z zakresu mego własnego działania byłem naocznym świadkiem, i która po upływie lat trzydziestu, jeszcze się żywémi kolorami w pamięci mojéj maluje; — opisanie, któreby z innego względu uważane, niemało obrazów męztwa, waleczności i osobistego poświęcenia się godnie przedstawić mogło.

W ogłoszonym w téj mierze przez najdostojniejszego naczelnego wodza raporcie bitwy, ilość cesarsko-austryjackiéj armii na 75,000 ludzi i 288 dział podano. Zwycięzka armija w poległych i ranionych poniosła stratę przeszło 20,000 ludzi, a 7,000 koni; porażona zaś przeszło 50,000 ludzi, a 20,000 koni. — Zwycięzcy stracili 800 — zwyciężeni 2,800 jeńców. — Pierwsi przeszło 80,000, drudzy przeszło 120,000 razy dali z dział ognia. Obliczenie to bynajmniéj nie jest przesadzoném, choćbyśmy przypuścili, że nieprzyjaciel tylko ze 400 dział dawał ognia; ale rzecz jest niezawodna, że nawet więcéj dział było czynnych, i wiadomo, iż ku końcu bitwy, podobnież i nieprzyjaciel całą swoję amunicyję wypotrzebował, która niezawodnie z więcéj niż z 120,000 działowych ładunków się składała. — Zachodzi tylko zapytanie, jakim sposobem się to stało, iż 120,000 działowych wystrzałów dobrze urządzonéj artyleryi francuzkiéj, tak małą klęskę armii austryjackiéj w stosunku do jéj odporu zadać mogły? — gdyż na 120,000 wystrzałów z dział francuzkich tylko 20,000 poległych i rannych Austryjaków, a na 80,000 wystrzałów z dział austryjackich, przeszło 50,000 poległych i rannych Francuzów przypadał. — Skutek wynikły z broni ręcznéj w obiedwóch armijach, prawie za równy uważać można, gdyż piechota oprócz szturmów przypuszczanych do dwóch miejsc powyżéj nadmienionych, mało miała sposobności do rozwinięcia ognia z ręcznéj broni, ogień zaś w masie miotany na konnicę francuzką, niewięcéj z niéj jak 2,000 ranił albo trupem położył. Przetoby ilość tę, dla porównania liczby wystrzałów z dział, tudzież poległych ze stron obiedwóch, od 50,000 nieprzyjaciół odtrącić wypadało, gdyby się takowa, przez 2,000 podczas szturmu do

szpichlérza poległych grenadyjerów niewyrównywała.

Prawdziwą przyczyną wielkiéj straty nieprzyjaciela, było niestósowne ustawienie wójsk swoich w szachownicę, w któréj takowe jakby w klin wciśnięte były; a głęboka, bojowa linija jego, austryjackim kulom za cél służyć musiała. Przeciwnie zaś, armija austryjacka przeszło o 25,000 ludzi słabsza, otaczała ten klin wielkiém półkołem, przyczem masy jéj stały jedna od drugiéj w szérokich odstępach, przezco krocie kul nieprzyjacielskich bez wszelkiego skutku na széroką płaszczyznę morawskiego pola leciały. Gdy się zdarzyło, że bateryja francuzka wzięła dobrze na cél masę piechoty austryjackiéj, natenczas takowa tylko cokolwiek na bok się posunęła, a nieprzyjacielskie kule krociami bez skutku koło niéj przelatywały. Gęste kłęby dymu były przyczyną, że francuzcy puszkarze długo swojéj omyłki nie postrzegli.

Gdyby Napoleon na drugi dzień z-rana, zamiast dawania do całego austryjackiego środkowego łuku przez sześć godzin w stosunku do przemożnéj artyleryi swojéj mało skutkującego ognia, największą część dział swoich tylko do pewnego miejsca tegoż łuku był wymierzył, i gdyby przytém sam z jakim oddziałem nierównie liczniejszéj swojéj piechoty w ciasnych, szturmujących kolumnach, do tegoż miejsca był atak przypuścił, nie oglądając się na inne zastępy austryjackie, zwłaszcza, iż jeszcze podostatkiem miał dział i wojska dla wystawienia naprzeciw nich równéj potęgi; byłby się wydobył z swojego klinowego stanowiska, i mimo największéj waleczności i odporu ze strony Austryjaków, byłby odniósł świetne zwycięztwo. Gdyż stanowisko Austryjaków już przez samo położenie miejsca, już przez ilość wojska, nie mogło być zmienionem, a przeto wszelki na wielką stopę taktyczny obrót podczas bitwy, przy tak niespodzianym wypadku, byłby niepodobnym do uskutecznienia. W téj bitwie bystry rozum jenijalnego nieprzyjacielskiego wodza, omylił się w swojéj rachubie, albo raczéj bitwa pod Aspern była dla Napoleona ważną nauką, aby na wszystko za jednym razem uderzać i niszczyć się nie ważył. — Jednakże podobne uwagi nad strategicznémi i taktycznémi wypadkami bitwy, nie należą do niniejszego jéj skréślenia.

Największym dowodem niezmiernych natężeń nieprzyjaciela, są jego częścią polegli, częścią zranieni marszałkowie i jenerałowie, jakoto: Lannes, d'Espagne, St. Hillaire, Albuquerque, którzy polegli, a Massena, Bessier, Boudet, Legrand, Lasalle i dwóch braci Lagrange, których raniono. Dunosnel i Fouler w niewolę się dostali.

Ze strony Austryjaków nie poległ żaden jenerał, ale 87 oficerów zabito; jednakże ranionymi zostali jenerałowie książę Rochów, Didovich, Weber, Fresnel, Wincigerode, Grill, Neustädter, Siegenthal, Colloredo, Majer, Hohenfeld, Buresch i 663 oficerów, z których śmiertelnie raniony i na bojowisku leżący feldmarszałek-lejtnant Weber, dostał się w niewolą, i którego Napoleon uchodząc na czółnie, sam wziął z sobą. Milczący cesarz dostawszy się na środek Dunaju, zapytał jenerała Webera: »*Comment va général?*« — »*Tres bien*« — odrzekł umiérający bohatér austryjacki, »*car je vois vous trembler!*« —

Dziwną jest rzeczą w téj bitwie, że Jego Ces. Mość najdostojniejszy Arcyksiążę, naczélny wódz, który się ciągle w piérwszych széregach walczących ukazywał, który wszędzie, gdzie tylko niebezpieczeństwo zagrażało, w własnéj osobie odważnie w pomoc śpiesząc, nieszczęściu zapobiegał — który od wszystkich nieprzyjacielskich zastępów w najzaciętszéj walce częstokroć spostrzeżonym być musiał — że ten mówię dostojny bohatér z téj walki bez szwanku wyszedł. Zdaje się, iż wszystkie tysiące kul, po nad jego głową i w około niego przelatujące, ochraniały drogie życie jego!

W raporcie wymieniona jest po nazwisku wielka ilość walecznych wojowników, którzy mieli zaszczyt w téj bitwie się odznaczyć, a nierównie jeszcze większą ich ilość późniéj najłaskawszy Monarcha orderami i względami swémi zaszczycił. Lecz któżby zdołał wszystkich bohatérów owéj bitwy wymienić i nagrodzić? w któréj każdy wojownik od najwyższego aż do najostatniejszego z równym zapałem szedł na śmierć,

w której wszyscy bez wyjątku swoje powinności ze wszystkich sił wypełnić się starali, nakoniec w której na każdego czole to hasło jaśniało:

»Wierność i poświęcenie się za Cesarza i ojczyznę!«

O. dnia 15go grudnia 1839.

O. e. v. St.

BIÓRO GAZECIARZA PARYZKIEGO.

(Z Gazety Porannej Warszawskiej.)

Łaskawy czytelniku, którego tak wysoko szacujemy, ty opiekuńczy duchu gazety, a zwłaszcza kiedy nietylko umysłowym, ale i materyjalnym sposobem opiekę swoje okazujesz! widzimy cię siedzącego w twojém wygodném krześle, w szlafroku i pantoflach, jak się od niechcenia do czytania gazety zabiérasz. Rozkładasz pismo, donoszące ci codzień, co się we wszystkich pięciu częściach świata nowego wydarzyło, szukasz w niém najświéższych wojennych buletynów, belletrycznych, literackich, naukowych doniesień, giełdowych i teatralnych nowości, pożarów, kradzieży, zabójstw, osobliwych przygód i ciekawych kuryjozów — a posłuszna twym rozkazom gazeta, wywiedziawszy się o wszystkiém jak najdokładniéj, na każde twoje pytanie odpowiedzieć umié. Winieneś przeto wdzięczność téj gazecie, która cię uczy, co masz odpowiedziéć na owo ważne pytanie: »co tam nowego?« Z jéj łaski masz obfitą materyję do rozmowy z ludźmi, jakich najwięcéj na świecie.

Ale kiedy nieoszacowany czytelniku, siedzisz sobie wygodnie w pantoflach i szlafroku nad gazetą; czy ci téż kiedy przez myśl przeszło, dowiedzieć się, jakim sposobem powstaje zjawisko, z tak różnorodnych złożone żywiołów, i trzysta sześćdziesiąt razy w roku dochodzące rąk twoich? Czybyś się nie chciał dowiedzieć, jak peryjodyczna prassa, stawszy się w naszych czasach potęgą, codzień swoje olbrzymie wyciąga ramiona? Maszże jakie wyobrażenie o gazeciarskiém biórze, owéj wulkanicznéj kuźni, w któréj się tyle wyrabia tworów. Gazeta jest orędowniczką prawdy, albo trąbą kłamstwa, narzędziem do dobrego lub złego.

Gazety, podobnie jak wiele innych rzeczy i ludzi, nie były tém dawniéj, czém są teraz, a ich początki są bardzo skromne. Nawet w czasie rewolucyi francuzkiéj, lub cesarstwa, nie dochodziły wielkości teraźniejszych tak nazwanych małych żurnali. Praca więc naszych poprzedników, i przez połowę tak trudna nie była. Kilka ich numerów zmieściłoby się na jednéj naszéj olbrzymiéj stronicy. — Jakżeby się owi nieboszczykowie zdumieli, ujrzawszy nietylko sążnisty format, ale nadto tyle okazałości, tyle blasku stylowego, w artykułach na wieczne zapomnienie w swym zarodzie wskazanych.

Ale czas już jest wnijść do świątyni gazeciarskiéj, świątyni, z któréj się wyrocznie na wszystkie okolice świata lotem błyskawicy rozchodzą. A najprzód wiedzieć trzeba, że peryjodyczna prassa nie ma odźwiernych; jeden albo dwaj dziarskie chłopaki stoją w przedpokoju, gotowi na każde zawołanie na posełki. Wchodzim teraz do samego pokoju, którego najgłówniejszą ozdobą, jest długi zielonem suknem przykryty stół, mniéj więcéj atramentem zbryzgany, niezatarte ślady zaciętych choć nie krwawych gazeciarskich bojów. Po ścianach wiszą geograficzne karty, w szafie spoczywają grube folijały: zbiory gazet, słowników i inne tego rodzaju gazeciarskie podręczne sprzęty. Nad kominem stoi flasza z wodą, z dwoma lub trzema szklankami. Na stole widać w znacznéj liczbie kałamarze i piaselniczki, ostatnie nie złotym ale zwyczajnym piaskiem napełnione, wszystkie nowe peryjodyczne pisma obok siebie złożone w najlepszéj zgodzie.

Jest godzina czwarta. W biórze redakcyjném, któreśmy właśnie opisali, siedzi czterech albo pięciu pilnych pracowników, zaczynających układać jutrzejszy numer. Ten, który się niekiedy do kart geograficznych obraca, i pisane albo litografowane korrespondencyje przed sobą rozwija, jest redaktorem spraw zagranicznych. Ugania on się za Kabrera, nie spuszczając atoli i Marotty z oka. Jest przymuszony, choć mieszka w Paryżu, prawie całkiem żyć na półwyspie; tam obozuje, jeździ na czaty, stacza krwawe boje.

Rozumie się samo przez się, lubośmy tego wyraźnie nie powiedzieli, że mówimy o gazecie, która przecie ma jeszcze jakowyś wzgląd na prawdę i szacunek dla publiczności. Jakoż jeżeli redaktor spraw zagranicznych, nie przyjmuje do swéj gazety kłamliwych i niedorzecznych doniesień, które gazety w dobréj wierze powtarzają; natenczas nie tak łatwe to jest zadanie, między tylu sprzecznémi i przesadzonémi doniesieniami, zbliżyć się do prawdy. Drugi Redaktor objął wewnętrzne sprawy i politykę. Do niego należą zmiany ministeryjum, posiedzenia izb; jego rzeczą jest mieć na oku bohatérów efemerycznych w polityce, zagajać izby, rozwiązywać najzawilsze ministeryjalne dyskussyje; intrygować, latać wszędzie, zaziérać za polityczne kulissy, jadać nawet i sypiać z panami:

Molé, Thiers, Dupin, Guizot, posłuchać ich osobliwie w prywatnych konferencyjkach i t. d. Konstytucyjna i reprezentacyjna atmosfera jest jego żywiołem, którym oddycha, a do tego potrzeba płuc mocnych.

Do najużyteczniejszych sprzętów na stole, należą dwoje nożyc, jest to buława gazeciarzy, za pomocą których, rozmaite wydarzenia w stolicy lub na prowincyi zdatne do gazety, z innych czasopismów bez litości wyrzynają. — Ten urząd zdawałby się na piérwszy rzut oka, nie zbyt trudny, ale rzecz się ma przeciwnie. Trzeba posiadać wiele przenikliwości i taktu, aby poznać co się święci. Najtrudniéj jest opędzić się nawałowi rozmaitych doniesień, które się pod tysiącznémi kształtami do gazet wkradają, raz, aby nieopłacić kosztów insercyjnych, potém, aby tém łatwiéj zwrócić na się uwagę oszukanych czytelników. Nie można sobie tego wystawić, jakie kształty przybiéra przemyślny Francuz, aby trafić do worka publiczności: fraszka Cyrce i najsławniejsze czarnoksiężniki. Raz, jest to rój pszczół, który dziwnym sposobem usiadł na łuku przy *Pont neuf* naprzeciw kawiarni *Royal*, gdzie są wyborne lody, a na które zjawisko natury zwraca się uwaga badaczów i światłéj publiczności. Drugi raz jest to mularz, który spadłszy z wysokiego rusztowania, zawdzięcza swoje życie jedynie biegłości w sztuce lékarskiéj sławnego doktora NN. przechodzącego tamtędy — przypadkiem. Przeszłéj zimy zamarzła Sekwana całkiem przy Bercy i wielu ludzi przechodziło po lodzie, pomijając mostowe. Wnet czytaliśmy w gazecie rozczulającą historyję o pięciu nieszczęśliwych, którzy obok mostu Bercy załamawszy się na lodzie, utonęli wszyscy, nie zostawiwszy po sobie najmniejszego znaku. Szkoda tylko, że cała ta okropna historyja była puszczonym postrachem przez akcyjonaryjuszów mostowego.

Oto przychodzi jeszcze jeden redaktor; przybywa on właśnie z trybunału, gdzie sądzono interessujący proces, i przynosi trzy kolumny sądowéj kroniki. Inny powraca z izby deputowanych i rozkłada na stole mnóstwo papiérów, stenograficzném pismem w największym pośpiechu pokréślonych. Widzisz, jaki zziajany, pięć godzin ciągle z niesłychaną skwapliwością spisywał debaty rozhukanego posiedzenia, pochwytując każde słówko, a nawet wykrzyknik i poruszenia tych panów. Musi on każdego przerywającego tok obrad na piérwszy rzut oka poznać, aby nikogo ani jednego brawa nie pozbawić. W głowie tego stenografa krzyżują się projekta do praw i w fantastycznym tańcu krążą przed jego oczyma. Jego jest rzeczą teraz te stenograficzne koślawe kréski zamienić na zwyczajne pismo, na które już czcionkarze, jako na swą zdobycz czyhają, i jeszcze mokre, rozerwawszy je między siebie jak harpije jakie, na powietrzu składają. Stenograf, ten męczennik reprezentacyi narodowéj, i najdłuższe opóźnienie godziny obiadowéj, mężnym umysłem znieść musi, zasiadając dopiéro razem, rozumie się o jednym czasie, z panami deputowanémi do stołu. Innych redaktorów czeka jeszcze w godzinie poobiedniéj nowe zatrudnienie. Wtenczas przybywają autorowie, księgarze z najnowszémi swémi płodami, i tysiąc innych supplikantów, którzy nie pytając się, czy to lub owo stósuje się, lub godne jest ogłoszenia, usilnie o jak najkorzystniejsze zalecenie proszą. Tu musi się redaktor uzbroić stałością prawdziwie katońską, aby nie uległ natarczywości i pokuszeniu i nie spuścił z oczu raz przyjętych zasad i interesu swych czytelników. A i tak prawie niepodobna, znajdując się między Scyllą i Charybdą, nie uczynić pewnéj koncessyi dla tego lub owego, kiedy tysiączne rozliczne względy, to polityczne, to literackie, tego gwałtem wymagać się zdają.

Nareszcie przychodzą jeszcze ludzie, którzy pod pozorem pilnego interesu, chcą na słówko rozmówić się z piérwszym redaktorem, i obsesem do jego własnego pokoju wpadają. Ten pilny interes jest zwyczajnie rozwlekła historyja, nikogo nie obchodząca, a która biédny redaktor z wielkiém udręczeniem ciérpliwie aż do końca ze wszystkiémi szczegółami wysłuchać musi; choć już jest późno, a nie jedno jeszcze do załatwienia pozostaje. W nagrodę za te nieznośne nudy, otrzymują niekiedy redaktorowie od swych politycznych przyjaciół i mężów wysoko stojących, najszacowniejsze doniesienia, wynagradzające ich sowicie za całogodzinne unudzenie.

O szóstéj godzinie próżne jest biuro, ponieważ redaktorowie idą na obiad i pauza ta trwa aż do godziny dziewiątéj. Wtenczas rozpoczyna się nowa praca; zbiérają się nowości południowe i doniesienia z pism wieczornych i porządkuje się cała gazeta. Najwyższy porządkowy imperator oświadcza, że ma za wiele polityki lub feuilletonów literackich, to jest artykułów oświaty się tyczących; ale mu jeszcze brakuje sto pięćdziesiąt dwa wiérsze do wewnętrznych spraw, tyczących się pokoju i szczęśliwości kraju. Te na prędce dorobić trzeba. Około północy wszyscy swoje prace skończyli, wyjąwszy faktora (korrektora), który z piórem w ręku poluje na błędy drukarskie, owe odradzającą się hydrę drukarską, któréj nikt nigdy wytępić nie zdoła. W czasie nocy są w ruchu prasy, a rano składają się numera.

Tym sposobem każda godzina nowe przynosi zatrudnienie. Poczém posyła się królewskiemu prokuratorowi przez odpowiedzialnego redaktora podpisany egzemplarz.

Skoro gazety poranne już są wygotowane, przystępują do wygotowania gazet na prowincyję. Redaktor wykréśla z egzemplarza dla stolicy przeznaczonego, artykuły teatralne i wszystko co tylko dla Paryża ma interes, a natomiast z pism porannych inne ogólniejszy mające interes wsuwa artykuły, poczém odciąga się liczba egzemplarzy na prowincyją i na pocztę przesyła.

Tym sposobem fabrykują się gazety, dzień w dzień, wyjąwszy tylko wielkie święta. Jeżeli oprócz licznego jeneralnego sztabu redaktorów, policzymy innych urzędników, niezmierne stęplowe koszta; wyznać trzeba, że gazeta w Paryżu olbrzymiém jest przedsięwzięciem.

* * *

Jakiż stan biur naszych gazet? Czyż u nas jest tylu redaktorów choć jednego efemerydycznego pisma? Czy wielkość wszystkich pism naszych, złoży dużą, serwetowéj przestrzeni gazetę zagraniczną? Czyż dochody ze wszystkich pism czasowych w całym kraju wydawanych, wyrównywają choć w części korzyściom jednego jakiegokolwiek pisma peryjodycznego za granicą, gdzie finansowy stan i liczba pragnących czytać, na mnogie rachować się może tysiące? Na nieszczęście, odrzec musimy na te i wszelkie do tych podobne pytania, wielkiém i wyraziście powiedzianém przeczeniem: Nie! Nasze biura malutkie, najczęściéj dwustolikowe tylko. Jeden Redaktor dźwigać musi na sobie i wiadomości krajowe, i wiadomości zagraniczne, i wiadomości handlowe, i wiadomości przemysłowe, i wiadomości rozmaite, i wiadomości piśmiennicze, słowem wszystkie w ogóle *ości.* A jeźli dodany dlań pomocnik — o! to już bardzo dobrze! Ów pomocnik, a często i sam Redaktor (nie mówimy tu o właścicielach pism)*) ma jeszcze prócz robienia gazety, inne obowiązki lub urząd. Nie jest to człowiek wyłącznie pismu oddany. Jak nié ma u nas literatów z professyi, którzyby jedynie tylko piśmiennictwu się poświęcali, tak téż nié ma wyłącznych, swemu tylko gazeciarstwu oddanych ludzi. Bo i któżby ze spokojném sumieniem, wszystek czas swój, całą młodość, a może i przyszłość, poświęcił dla lichéj zapłaty i tak małéj ilości czytających, któraby za kilka złotych, na maleńkim pół-arkuszowym świstku chciała mieć zebrane wszelkie nadzwyczajności, wszelkie a wszelkie nowiny, i więcéj jeszcze niż nadzwyczajności i nowiny. »O! to za mądry artykuł«, jeden się odzywa. Drugi powiada: »Nié masz nic niedorzeczniejszego nad te pisma!« Trzeci chce mieć obszérnie, z najdrobniejszémi szczegółami redagowane wiadomości zagraniczne. Inny znowu chciałby je mieć treściwie zebrane. Temu nie do smaku to lub owo, tamten chce tego, czego chcieć nie wypada. Niektórym potrzebne są wiadomostki o handlu lub kursie pieniędzy, a niektórzy mówią: »Na co nam się to zdało!« Wielu pragnie rozlicznych obwieszczeń, a większa jeszcze liczba mówi: »Co nam po doniesieniach, kiedy za to osobno się płaci.« — Słowem, ***jeszcze się ten nie urodził, coby wszystkim dogodził.*** A przecież dogodzić trzeba, trzeba dogodzić koniecznie! Bądźże tu mądry! Pisz tak, aby i miasto i prowincyja, i urzędnik i obywatel, i ten i ów, i tamten — i wszyscy i niektórzy byli radzi, pragnący cię czytać — a co najwięcéj, chcący za wszystko dobrze płacić. Wszystkie spekulacyje czysto-literackie, czemuż u nas upadły? Znalazłże się choć jeden taki człowiek, któryby nie szczędził kosztów własnych, dla podniesienia zewnętrznéj i wewnętrznéj wartości pisma? A przecież to jest niezbędną, konieczną, niezém nieodbitą rzeczą! — bo wprzód nimbyśmy śmiało narzucać mogli drugim swe pisma, musimy piérwéj na dobréj postawić je stopie — a podołamyż temu bez pieniędzy? — O! te liche pieniądze! Czemuż one wszędy na zawadzie stają! Za nic dobre chęci, za nic usilność i starania, za nic nawet talent, literackie stosunki, piękne zamysły, wzniosłe przedsięwzięcia, wszystko się rozbije o jednę bryłę metaliczną, wszystko się rozkruszy bez kruszców. Przebiegając historyję pism peryjodycznych w kraju, pism nawet najlepszych pod każdym względem, dziwić się potrzeba krótkości trwania każdego z nich. Nigdzie tak dobrze nie przypada nazwa pism czasowych, jak u nas. Tu było, już go nié ma. Dla czego zginęło? »Dla braku prenumeratorów, lub niezgód między literatami!« to zwyczajna odpowiedź. Jeden tylko Dziennik Wileński najdłuższy zakres swego życia przebiegł. Inne pisma za wiele na świecie już trwały, jeźli kilka lat co do dawności liczyły. Bolejąc nad tém i sposobiąc do druku dzieje wszelkich pism peryjo-

---

*) Wydawca (*éditeur*) i Redaktor (*redacteur*) często się u nas biorą za jedno, w mowie potocznéj, a niekiedy nawet i w pismach. Synonimiczność, nie jest jeszcze powodem do jednoznaczności. Nie jeden księgarz jest wydawcą wielu pism, których nigdy nie był redaktorem. Wprawdzie i Redaktor jest wydawcą, ale wydawcą wewnętrznéj tylko części pisma; cała zaś zewnętrzność czyli materyjalno-finansowa strona jakiegokolwiek pisma, należy do prawdziwego wydawcy (*éditeur*), któryby mógł nosić u nas miano właściciela. I w istocie, najwłaściwiéjby to było.

dycznych, jakie tylko kiedykolwiek istniały w kraju, od czasów najdawniejszych aż do naszych, musimy wyznać, kończąc obecny artykuł, iż póty żadne nasze nie wzniesie się pismo, póki nie nabierzemy więcéj do czytania i pisania ochoty. Teraz lubimy tylko rzeczy lekkie, kochamy się w owém francuzkiém *Niczém*, i *nic* téż pisać musimy. — Zarzucajmy kupować i czytać same tylko dzieła i pisma francuzkie, wspiérajmy krajowych autorów, zasilajmy piśmiennictwo własne, a wtedy śmiało będziem od niego czegoś więcéj wymagali. Pamiętajmy, że barometrem oświaty była zawsze literatura peryjodyczna. Im który kraj stał niżéj pod względem kultury umysłowéj, tym mniéj liczył pism czasowych; — myśmy, zawsze tyle, co do nazwy, mieli gazet i rozlicznych dzienników; nie dozwólmyż przeto umysłowi naszemu stać się pasorzytem: owszém, zamiast tworów innych, niech pożytek na własnéj, jak pszczółka zbiéra niwie; niech ssie słodycz tylko samę, zostawując gorycz, bez któréj — oby każdy raczył pomnieć! Że się nic pod słońcem nie dzieje. *H. S.*

ZE LWOWA.

Księgozbiór Zakładu naukowego imienia Ossolińskich, otrzymał w tych czasach znaczny przyrost w dzieła rzadsze i rękopisma ze spadku po ś. p. Józefie Dzierzkowskim, marszałku królestw Galicyi i Lodomeryi, który ostatnią wolą swoją postanowił, aby, jeżeli dla zaspokojenia niektórych należytości, sprzedaż książek po nim pozostałych nie okaże się konieczną, wszystkie te dzieła oddane zostały Biblijotece Ossolińskich, którychby się w niéj nie znajdowały. Lubo dołożony warunek pozbawiał Zakład Ossolińskich nadziei odniesienia jakiéj korzyści z tych oświadczeń ś. p. Dzierzkowskiego, jednakże spadkobiercy: WW. Mikołaj Cieński i Wiktor Obniski, wraz z exekutorem testamentu W. Jędrzejem Przybysławskim, powodowani chęcią przekazania potomności wspomnień o światłym i o dobro kraju tyle troskliwym mężu, nie tylko złożyli darem w Zakładzie naukowym imienia Ossolińskich, wszystkie rękopisma z Księgozbioru niegdyś Dzierzkowskiego, których liczba 80 tomów przechodzi, i wiele nader rzadkich książek, jak n. p. *Mszał krakowski* Hallera z roku 1515. *Nowy Testament* Radziwiłłowski z r. 1593 i t. p., ale nawet kupując sami nie jedno przez licytacyję przedawane dzieło, oddawali je do tego składu narodowych pamiątek, dla zostawienia tamże dowodu i własnéj swéj obywatelskiéj gorliwości. Oby tak piękny przykład znalazł jak najwięcéj naśladowców!

Tygodnika rolniczo-przemysłowego pod Redakcyją T. W. Kochańskiego, wyszedł Nr. 12. i obejmuje: 1) Na czem zależy dobre gospodarstwo. (Dokończenie.) 2) W jakim stosunku powinny być łąki do gruntów ornych. 3) Sposób czyszczenia oleju rzepakowego i rzepnikowego, tak z ozimego jako też z jarego zbioru, przez kwas siarczany. 4) Wiadomości czasowe.

Nic pod słońcem nowego. Doktora Gall uważano dotychczas za wynalazcę *kraniologii* (nauki o czaszkach). Lecz temu zupełnie zaprzeczyć można. Już bowiem w roku 1522 Jan z Głogowy, professor przy uniwersytecie krakowskim, wydał drukiem w Krakowie dzieło pod nazwą: *de Anima*, w którém nie tylko, że istotę nauki o czaszkach wyłożył, ale nawet na przyłączonéj rycinie organa na ten sam sposób jak doktor Gall oznaczył. Pewien uczony Polak, będący w Paryżu, zapytał doktora Galla, azali mu znana ta książka, lecz zaprzeczającą otrzymał odpowiedź. Podobnież i Lawatera miano dotychczas za piérwszego tłumacza rysów twarzy, a konwersacyjny słownik Brockhausa przyznał mu prawo ku temu. Atoli już w r. 1532 Grzegorz z Sanoka, wtedy professor przy uniwersytecie krakowskim, wydał drukiem pismo pod nazwą: *»Enchiridion physiognomiae«*, w którém jak najdokładniéj całą naukę o fizyjognomii wyłożył, i tak cnoty jak i występki ludzkie z rysów twarzy wyczytywał. Ktoby w téj mierze miał jaką wątpliwość, może się zgłosić do uczonego senatora Soczyńskiego w Krakowie, w którego biblijotece obiedwie tu przytoczone rozprawy się znajdują. Z dziennéj kroniki uniwersytetu Jagiellońskiego zasięgnąć można wiadomość, że już przed trzystu laty obadwaj wyż wzmiankowani professorowie publiczne odczyty o kraniologii i fizyognomice miewali.

Głowa i serce. Głowa i serce są dwie rzeczy, o których świat często mówi, chociaż ich nie zna dostatecznie. Sąto dwa kosztowne klejnoty; kto je ma, mało o nich rozprawia, podobnie jak każdy przezorny bogacz o swych skarbach rozwodzić się wystrzéga. Zastanowiwszy się dokładnie co jest głowa i serce, przyznać musimy, iż głowa jest mężczyzną a serce kobiétą. Głowa jest chciwa panowania i niezgodna jak mężczyzna; serce jest potulne i towarzyskie jak kobiéta. Gdzie się dwie głowy zetrą, tam trudno, aby bez guzów się obeszło; lecz gdzie się zejdzie serc dwoje, tam zaraz w niewieściéj poufności ze sobą rozmawiają. Głowa jest mężczyzną, dla tego kurs giełdy i bieg planet oblicza, zagląda w *konklawy* i gabinety, i układa działania finansów i plany bitew; serce kojarzy węzły miłosne i małżeńskie, bo jest kobiétą. Wygoda męzka pozwala niekiedy wypocząć głowie; przeciwnie zaś serce jest zawsze niespokojne i w ruchu, bo jest kobiétą. — Głowa męzka przez zarozumiałość sama siebie tylko uwielbia; serce zaś w niewieściéj skromności każdemu zasłużony wieniec oddaje. — Głowa, podobnie jak mężczyzna, jedynie w mieniu szczęście znajduje; serce podobnie jak kobiéta, tylko wtedy jest szczęśliwe, gdy tém, co ma, z drugiém się podzielić może. — Mężczyzna, głowa, stara się zgłębić Boga, i pod ciężarem swojego natężenia upada; kobiéta, serce, *czuje* Boga, a to uczucie spokój i szczęście mu przynosi. — Gdy głowa z głowami niższego stopnia się zejdzie, chcąc się grzeczną okazać, w uczuciu swojéj męzkiéj dumy z łaski do nich się zniża, za co obrażeni nienawidzą jéj potajemnie; serce zaś tkliwe niewieście podnosi niższe serca ku sobie, i za to słodkie uczucie miłość i podziękę w nagrodę bierze. — Głowa potępia, serce uniewinnia; głowa się mści, serce przebacza; głowa rozumuje, serce czuje; głowa szydzi, serce pieści; głowa rani, serce leczy; głowa zwycięża, serce uszczęśliwia; dla tego głowa jest mężczyzną, a serce kobiétą. Porównanie to możnaby snadno jeszcze daléj na ten sposób rozszérzyć, naprzykład głowa i serce są małżonkiem i żoną, a to dla tego, że głowa i serce, jakeśmy dopiéro widzieli, są zawsze innego zdania. — Głowa wyszukiwa błędy i krytykuje wszystko, jak małżonek; serce dozwala jéj, aby się wygadała, a przecież czyni to, co się mu podoba, podobnie jak małżonka. — Do pana głowy zbliżamy się z przyzwoitém uszanowaniem; do damy serca z słodkiem spojrzeniem i tkliwémi słowy.

—Głowa, podług bezbożnego zwyczaju mężczyzn, odwidza serce zwykle tylko dorywczo, gdy ją świat znęka i zmartwi, ale niedługo przy niém bawi; niewdzięczna jak małżonek, za wygładzone tkliwością marszczki, które niedola na jéj czole wyryła, znowu w świat goni i dawne życie rozpoczyna.— Gdy głowa i serce czasem się z sobą powadzą, natenczas serce jak kobieta zwykle jest ostatnie, które kłótnię kończy; lecz za to głowa w takich okolicznościach okazuje z swojéj strony wielką grzeczność, to jest, milczy, gdy serce za głośno mówić zaczyna.— Gdy pan głowa, damę serce, tyranizuje, w przykrym stanie jest wtedy małżeństwo; lecz najnierozsądniejsze jest wtedy gospodarstwo, gdy głowa pokornym sługą serca zostaje. — Gdy pan głowa zbankrutuje, wtedy ponajwiększéj części dama serce jest tego przyczyną.— Głowa i serce aż nazbyt często żyją z sobą podobnie, jak teraźniejsze modne stadła; gdzie jedno z nich zastaniesz, tam drugiego nie szukaj. —Głowa, jak małżonek, najpierwéj zamilknie, gdy słuszność za nim mówi; serce jak żona najgłośniéj wtedy krzyczy, gdy niesłuszność na jéj stronie.—Ale otóż postrzegłem się, żem mnóstwo małżeńskich tajemnic pana głowy i damy serca przed światem wykrył; a kto wié, może i nie warto było zadawać sobie tyle pracy, jestem bowiem przekonany, że o tém wszystkiém równie nasi czytelnicy jak i czytelniczki bardzo dobrze wiedzą.

Złoty wiek dla artystów w Paryżu. »Zaiste, za naszych czasów powiedzieć można, iż koncercistom, śpiewakom, tancerzom i aktorom, podobnie jak i śpiewaczkom, tancerkom i aktorkom, pieczone gołąbki same lecą do gąbki!« Tak się wyraża na pół żartobliwie a na pół poważnie pewien feuilletonista dziennika *National*, pod względem ostatniego panny Mars *benefisu*. Jakoż w saméj rzeczy słuszne jest zdanie jego, że dla artystów za naszych czasów pojawił się wiek złoty, podczas gdy inni śmiertelni tylko żelazny w około siebie widzą. Słusznie on utrzymuje, a szczególniéj co się tycze Paryża, że gdyby Gilblas, Melchiora Zapatę odwidził teraz w Paryżu, zastałby go w wytworném pomieszkaniu w najpiękniejszéj dzielnicy miasta, albo jako właściciela dóbr i pałacu *comme il faut*. Gdy w naszych szczęśliwych czasach jaki Melchior w podróż się udaje, zaraz jedzie cztérma końmi *extra* pocztą i z przepychem większym niż pan milijonowy. Twarde suchary, które niegdy ów Melchior w podróży swéj do Madrytu w zimnéj wodzie rozmiękczał, zamieniły się teraz w najsmaczniejsze biszkokty, które nasz Melchior w winie *Cheres* lub *Constantia* macza i zajada. Gdy inne kuńszta i umiejętności, a najszczególniéj literatura chleba żebrze, koncerciści i aktorowie żyją w kraju, który mlékiem i miodem płynie. A co się tycze sławy, ta ich pod niebiosa wynosi! Wnijdźcie do lada czytelni: dwudziestu dziennikarzy roztrąbiają sławę *prima donny* tak, że aż ich płuca bolą! Dopiero wczoraj przyszła ona jako nieznajome stworzenie z szkoły śpiéwania z zapłakanémi oczyma do nas, dzisiaj już jak baranka na ofiarę ją stroją i na deski prowadzą; otwiéra usta, wszyscy słuchacze biją czołem przed nowém bóstwem, a nazajutrz sława jéj rozchodzi się po całéj kuli ziemskiéj od Rossyi aż do Ameryki, od Petersburga aż do Przylądku dobréj Nadziei! W przeciągu jednego wieczora wznosi ona dla siebie taki kolos sławy, jak wieża przy katedrze w Strasburgu, podczas gdy największe jenijusze wieku naszego dla wzniesienia dla siebie skromnéj wieżyczki w zawodzie umiejętności, literatury i polityki, całe swoje życie prześlęczyć muszą!—Jenijusz, odwaga i patryjotyzm, pracują w pocie czoła i giną, żadna gałązka wawrzynu nie uwieńcza ich skroni!— Żadnéj księżniczki teatralnéj nie spotyka w Paryżu to nieszczęście, aby co wieczora świeżego nie odniosła tryjumfu i wieńcem laurowym ozdobiona nie układała się do łożka!—Na wszystkich rogach i kończynach naszéj stolicy, jaśnieją dużémi głoskami wyciśnięte kolosalne uwiadomienia, upominające się o haracz dla lada jakiego półbożka *Cavatino* lub też bogini *Entrechat*. Poprzylepiane karty są prawdziwie czarujące *Cyrcy*; ledwo że ci na myśl wpadło, już zostałeś ich jeńcem, osłem lub wołem, którego nieszczęsna ta czarodziejka do swego wozu tryjumfalnego zaprzęgła! *Benefisy* aktorów i aktorek w Paryżu są oczewiste weksle na sakiewki publiczności, a weksle te wyrastają teraz tak prędko jak grzyby z ziemi, co większa, wydają one taki sam skutek, jak jadowite grzyby Szamanów u Czukczow w Syberyi; to jest, sprawiają odurzenie i ślepotę. Orfej był partaczem w porównaniu z naszémi śpiewaczkami; za nim, gdy grał i śpiewał, tylko drzewa i kamienie po ulicach biegały; za naszémi artystkami, gdy zaśpiewają lub zagrają, biegną i skaczą pięcio-frankowe monety, chociażbyś nawet sakiewkę swą jak najmocniéj przycisnął i rękę na niéj położył. Panna Mars daje sztukę na swój *benefis*, bilet kosztuje tylko 25 franków; panna Rachel daje *benefis*, bilet kosztuje tylko 25 franków; panna Elssler podobnież; panna Garcia podobnież; potém następują śpiewacy i tancerze i koncerciści — słowem, bilety kosztujące 25 franków nie mają końca. Wampyry wysysają krew z ludzi, ale czémże jest krew?—Pieniądze, to dusza świata! Każdy *benefis*, który się podoba, albo umié zwrócić na siebie publiczności uwagę, niesie 15 do dwudziestu tysięcy franków czystego dochodu. Dwadzieścia tysięcy franków za jeden wieczór, we dwóch godzinach zagarnąć do kieszeni, co za kosztowna i przyjemna rozrywka! Za taką cenę wiara w *benefisy*, wkrótce zjedna sobie więcéj kapłanów, niż wszystkie religije na świecie, jeżli tylko prawowierni dla przewyższenia Jowisza w złotym deszczu, do ich świątyń cisnąć się nie poprzestaną.—Nie mówilibyśmy nic, gdyby to jeszcze byli artyści, którzy około kunsztu rzeczywiste położyli zasługi! Lecz przeciwnie, każdy partacz teatralny, mniema się już być upoważnionym aktorem, artystą z łaski Boga! »Co to za wielki mąż!« rzekłby Moliere za swoich czasów. A cóż powiémy o kunszcie?—Gdy Mojżesz był na górze i rozmawiał z Bogiem, żydzi zrobili sobie złotego cielca i tańczyli w około niego, aż pokąd Mojżesz nie pojawił się z *tablicami przykazania*, wtedy wszelkim pogańskim uroczystościom koniec położył. Ale zepsuty rodzaj ludzki przez swoje szaleństwo dał do poznania, że do wnijścia do świętéj ziemi jeszcze nie jest źrały, i przez czterdzieści lat mąż boży prowadził go po puszczy, aż pokąd rozumniejsze pokolenie nie wyrosło, godne do z-iszczenia przyrzeczeń bożkich! Tak wszystkim się powiedzie, którzy kunsztem za złoto frymarczą i nikczemne bałwochwalstwo wykonywują!

Stare mody. Starzy wiedzieli bardzo dobrze, co dogodném i przyjemném jest dla człowieka. Dowodem tego są jeszcze podziś dzień dawne meble, ubiory, tudzież inne przedmioty, równie jak i to, iż do wielu starożytnych rzeczach powracamy. Niektóre modne rzeczy dokonały już swego obiegu, i teraz znowu na tém miejscu stanęły, z kąd wyszły. Nieraz w niedzielę widzimy stare matrony w takich samych wiérzchnich sukniach, jakie dziś najmodniejsze damy noszą. Nakoniec jakiegoż kształtu moda się chwyci? Gdy wszystkie kombinacyje wyczerpie, znowu od tego, co już było, zaczynać musi. I tak zdaje się, że panowie krawcy w wynalazku nowych krojów, dowcip swój już wyczerpali. Dla tego też robią teraz tak niekształtne *gunie (paletots)*, jakie u nas w górach już od wieków *Bojki* noszą.

REDAKTOR J. N. KAMIŃSKI. — NAKŁADEM SPADKOBIERCÓW F. KRATTERA. — DRUKIEM P. PILLERA.